

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWÉ MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

29

— Teraz ja pana nie rozumiem.

— Jeżeli pan Delrue jest szczerym wyznawcą tej nieocenionej zasady, nazwanej milczeniem, to zrozumie, sędzę, lepiej od pana. Tylko, że pan będzie zmuszony pofatygować się tu poraz drugi.

— Będzie to wielka przyjemność dla mnie. Ale mówmy jasno i krótko: za zamiary podjęte wobec tej młodej blondynki, Janiny, dziesięć tysięcy. Nie mówmy więcej o tem. Pieniądze te są tu odłożone do pana dyspozycji, lub zdeponowane mogą być w banku natychmiast.

— Były jeszcze różne straty. Te się płaci. Co robi obecnie pan Delrue, jeżeli wolno wiedzieć? Pytanie to jest dosyć ważne dla mnie.

— Jest bankierem na placu Giełdy — do usług pana.

— To także się płaci... Proszę! Proszę! Jeszcze nie jest baronem?

— Nie, ale to przyjdzie.

— Pan Delrue, jak widzę, musiał podjąć jakiś spadek.

— Tak. Właśnie po pewnym baronie, sumę dosyć poważną. I już dzięki temu nie może być mowy o pewnym sfalszowanym kwicie. To była potwarz!

— E... mój panie! Są potwarze, których dowody sfotografowane zostały i złożone u jednego barona, albo też w rękach kogoś, którego znam osobiście i który posiada tę szczególną manię, że zachowuje starannie wszelkie duplikaty.

— Oryginały tylko są ważne dla sprawiedliwości.

— Oprócz sprawiedliwości jest jeszcze coś więcej. Bankierzy nie tylko z urzędnikami policyjnymi mają do czynienia. Jest jeszcze publiczność, klientela. Nie każdy lubi zawierzyć pieniądze swoje i kosztowne papiery panu, który bawi się w podrabianie kwitów zastawniczych i odsprzedawanie ich następnie łatwo-wiernemu kupcowi. Znałem niegdyś takiego pana, stał się później moim urzędnikiem, przespawszy przedtem niejedną noc na ławkach w ogrodach publicznych... Nie wiele u mnie dobrego zdziałał... Od tego czasu jednak umiał się pokierować i jest na dobrej drodze... o ile coś, lub ktoś nie powstrzyma go w tym tryumfalnym pochodzie.

— Ale wkońcu pan Delrue winien jest panu sumę dziesięciu tysięcy franków i mówiąc według zasad sumienia...

— Sumienia! — przerwał pan Collin Megret. — Cóż jest sumienie, indywidualne pojęcie tylko — ale pozostawmy lepiej na terenie interesów. Przedstawiają się w ten sposób. Dług przysznany dziesięć tysięcy, procenta, koszta, ryzyko, straty — pięćdziesiąt tysięcy. To prawie darmo. Przypuszczam, że pan Delrue nie będzie chciał poróżnić się ze mną i targować, jak żyd.

— Do diabła! Nie odnosi się pan do niego bardzo przyjaźnie!

— Czy panu mówiłem, że uważam go za przyjaciela?

— Myślałem.

— Pomyłka, mój panie i oto jej dowód: mój adwokat, obrońca pau Lelorain, zna go pan zapewne?

— To najzdolniejszy z moich kolegów, winszuję panu wyboru. Więc ten dowód?

— Jest taki. Obrona moja, przepatrując wraz ze mną akta mojej sprawy, wynalazła oskarżenie anonimowe, co prawda dawniejsze już, właściwie denuncjację, która wydała swoje owoce. Otóż owoc ten, który mi strawić trudno, oceniam również na sumę pięćdziesiąt tysięcy franków. Podobieństwo pisma wskazuje mi jasno, kto był autorem tej sympatycznej roboty.

— Chodzi obecnie o sto tysięcy, jeżeli liczyć umiem?

— Wspaniale pan liczy, drogi doktorze, nie mogę panu w niczem zaprzeczyć. Sto tysięcy złożone w depozycie, który panu wskażę i zmażuję od razu dawne rachunki. Widzi pan, że nie jestem złym człowiekiem. Na cóżby mi się przydało? I to nie jest po kupiecku. A jednakże...

— Pan Collin-Megret groźnie potrzęsł ręką, jak gdyby grożąc jakimś niewidzialnemu wrogowi...

— A jednakże — podjął znowu — to drugi błąd młodości pana Delrue, popełniony na szkodę jego dobroczyńcy. Staje się to niebezpieczne i szkodliwe. Mam sto powodów przedstawić ten fakt sądowi.

— I sto innych, żeby milczeć.

— Przypuśćmy. Kładę też za nie okup stosowny. Czy za duży może?

— Wystarczający. Pomówię o tem natychmiast z moim klientem.

— Z sympatycznym pana klientem i przyjacielem. Czy mogę pana prosić o złożenie mu w moim imieniu gratulacji z powodu niezapomnianego, ładnego pisma?

— Nie omieszkam tego uczynić, panie Collin Megret. Niema rzeczy, którejbym dla was obydwóch nie uczynił. Wzajemnie małe, niedyskretne pytanie...

— Pod pokrywką prawa, zdaje mi się, że może mi pan wszystko mówić, a ja do woli wysłuchać.

— Doskonale! Ta Janina, która stała się ofiarą...

— Czyją ofiarą?

— Która się nią stać właściwie mogła!

— Och! mój panie! Zamiar a czyn, to różnica! Zatrzymajmy się lepiej na zamiarze, który nie podpada paragrafom prawa.

— Było jednak rozpoczęcie czynu.

— Ale co znowu! Nic nie było... Co dalej?

— Interesowana osoba nie wnosła skargi?

— Na szczęście nic takiego nie miało miejsca. Może pan uspokoić pana Delrue, który się tem martwi niepotrzebnie. Ale prawda. Chciałem go prosić o pewną przysługę, ostatnią zapewne. Niech sobie pan wyobrazi, że nudzę się tu śmiertelnie.

— Och! Dozna niewypowiedzianej przykrości, jak mu powtórzę słowa pańskie.

— Tem bardziej, jak mu pan powie, że go proszę, aby postarał się załagodzić moich oskarżycieli i wierzycieli w tej głupiej sprawie bankructwa, którą mnie znowu obarczają.

— Ciężar dosyć poważny!

— Dla niego to drobiazg. On przy pomocy swojej inteligencji łatwo przekona ludzi, że w ich interesie własnym jest lepiej odebrać pieniądze, niż skazywać nieszczęśliwego człowieka.

— Niewinnego!... Takie jest moje zdanie. Będę bronił pańskiej sprawy i mam nadzieję, że wygram.

— Piękne honorarium czeka pana.

— Och! panie Collin-Megret!

— Locquerel, dla wiadomej rzeczy, niech pan nie zapomni!...

— Ach! panie Locquerel czy Collin-Megret, jaka szkoda, że kraty są tak gęste. Uściskałbym tak chętnie dłoń pańską.

— A jabym pańską wypełnił ciężkim, złotym ciężarem, drogi panie — zawołał, śmiejąc się, stary lichwiarz. — Podałem panu minimalną moją sumę. Podzielimy się, jeżeli pan wyciągnie nadwyżkę.

— Delrue jest bogaty. Może pan liczyć na mnie... Jak również na wypuszczenie na wolność za kaucją.

— Toby była ładna historia, kochany doktorze. Gdyby to pan mógł uzyskać!

— Z pewnością. Wkrótce pan ujrzy szanowną panią Collin-Megret. Niech się pan pocieszy.

— Pan Collin Megret skrzywił się nieprzyjemnie na wspomnienie swojej małżonki.

— Oh! — rzekł niedbale. — To nie jest takie ważne dla mnie. Powiem panu otwarcie całą prawdę. Nie jestem wcale mężem pani Wiktorii... i nic mi na niej nie zależy. Każdy w tym świecie żyje dla siebie — prawda?

— Allan zaśmiał się również.

— I ja tak czynię, mój kochany panie. Zachwycony jestem z poznania pana.

— Ja także. Zgadza się doskonale. Do zobaczenia — co?

— Ależ naturalnie, i to wkrótce.

W cztery oczy.

— Pan Collin Megret powrócił do swojej celi pokrzepiony na duchu, zatapiając się w rozkosznych marzeniach o wolności. Los, który mu dokuczył dosyć w ostatnich czasach i odwrócił się od niego, powracał z hojną zapłatą.

— Allan tymczasem wsiadał do automobilu, mówiąc szoferowi:

— Plac Giełdy — Andrzej Delrue, bankier. Słyszal pan o nim?

— Z pewnością. Wszyscy w tej dzielnicy znają tego pana.

— Detrue był dla Allana najcięższym orzechem do zgryzienia, największym nieprzyjacielem do zwalczania. Trzeba było za wszelką cenę wymódl na nędzniku przyznanie się... do pomyłki, odwołanie wszelkich zarzutów i naprawienie uczynionego zła. Allan wiedział, że nie może wyjść od niego bez tej pewności niezbitości. Po tej wizycie, której wynik musiał być dodatnim, pole zostanie całkowicie oczyszczone od wszelkich brudów, podstępów i potwarzy.

— Będzie można jasno rozpatrzyć się w działalności bankiera de Bressien, która gęstą, pajęczą siecią otoczyła Janinę le Brenn i Henryka de Kermor.

— Właściwie cała nienawiść i pogarda Allana zwrócona była do barona i jego to najwięcej upokorzyć i zmiażdżyć pragnął gorąco. Wiedział, że w sprawach tego rodzaju dotyczyć należy rdzenia samego. Bankier de Bressien był główną głową szatańskiej tej spekulacji, Andrzej Delrue zaś tylko pomocniczą ręką, reszta zaś niezbędnymi pionami w działaniu. Ludzi tych kupuje się i pogardza nimi. Baron de Bressien musiał zapłacić za siebie i za nich w ogólności i w szczegółach.

— To tutaj — przerwał zamyślenie Allana głos szofera — ten wielki budynek ze złotym napisem.

— Allan uśmiechnął się pogardliwie.

— W każdym razie, jeżeli zawiedzie go fach bankiera, pozostanie mu na pamiątkę szyld wspinały — pomyślał.

— Delrue rzeczywiście urządził biura swoje z niezwykłym przepychem, a użył tyle złota na napisy, że nasuwało się mimowoli pytanie, czy na tę bijącą w oczy dekorację nie zużył całej zawartości swej kasy?

— Już dwa tygodnie, jak bank otworzony został. Tłumy, zaciekawione, podziwiały szyld złoty i wielkie wystawowe szyby, ale mało osób wchodziło do środka.

— To przyjdzie z czasem — pocieszał się Delrue, zarazem dumny i niespokojny o los swojego przedsiębiorstwa.

— Dnia tego Delrue siedział od rana w swoim biurze. Przegląd kursu akcji obcokrajowych nie zadowolnił go zupełnie.

— Teraz — myślał, chcąc sobie dodać odwagi — pigułka, rzucona przez markiza, połknięta została... Ci, którzy za nim poszli, wstrzymują się, zechcą ratować... Kupcy z ostatnich tygodni staną na odporne stanowisku. Grać będziemy gorąco na podwyższenie kursu.

— Niestety, potrzeba tej gry dawała się już dobrze odczuwać. Akcje kopalni złota, szczególnie kopalni „Golden“, spadły bardzo nisko, nikt o nie się nie pytał. Była to porażka zupełna; nie krach jeszcze kompletny — lecz stagnacja niebezpieczna i złowróżbna.

— Andrzej Delrue, którego samotności żaden klient nie przychodził zakłócić, odczytywał teraz starannie szpalty dzienników, leżących przed nim. Zainteresował go szczególnie dziennik sądowy. Dowiedział się z niego, że pan Collin-Megret miał już wkrótce stanąć przed sądem przysięgłych. Nagle podskoczył ze zdumienia w wielkim swoim dyrektorskim fotelu.

— A to co znowu — zawołał, czytając gorączkowo opis dramatu z ulicy St. Maur. — Nowa zbrodnia Barykady! Córką Jakóba, posługacza! Znam go przecież. Co? Co jeszcze! Barykada zamordowany przez starego... mały Totor zgnieciouy przez automobil... Niedobra sprawa. Ludzie najpotrzebniejsi giną, lub siedzą w więzieniu.

— Szeroko otwierał zdziwione oczy przy końcu artykułu.

— Do diabła, jeżeli rozumiem, co robi w tem wszystkim miliarder amerykański, Allan. Myślałem, że zajmuje się obecnie nowym torem kolejowym w Oubanghi. Czyżby i Kermor był tu z nim razem?

— W tej chwili oznajmiono mu przybycie jakiegoś klienta. Biła właśnie dziesiąta godzina.

— Pan Allan z towarzystwa amerykańskiego „Allan“.

— Gdyby Bóg sam stąpił nagle do biura nowo-upieczzonego bankiera, nie byłby uczynił większego wrażenia. Takie zdumienie, radość i nadzieja ogarnęły Andrzejem Delrue, iż na chwilę stracił przytomność umysłu.

— Allan! Allan u mnie! — zawołał, prostując się z dumą. — Żelazny król Ameryki! Prosić do czerwonego salonu.

— Służący biurowy, wystrojony jak na maskaradę, świecąc złotem błyszczących guzików, rzucił się ku drzwiom, by godnie wpuścić tak wspaniałego klienta do salonu, przeznaczonego dla najlepszych gości. Delrue zaś, przejrzaawszy się szybko w lustrze, wszedł szybko za nim, chcąc uprzedzić wejście Allana.

— Teraz był błydy ze wzruszenia, zdenerwowany i niespokojny. Stał przy drzwiach, zasłoniętych ciężką portyerą, w postawie służalczej, przyjemnie uśmiechnięty.

— Wejście klienta w popielatej kurtce nie było wcale majestatyczne. Otoczenie nie zdawało mu się imponować wcale. Złośliwy uśmiech przebiegł po jego wargach. Bez słowa rozsiadł się szeroko w honorowym fotelu, założył jedną nogę na drugą i kapelusze zawiesił na lasce. Poczem oparł się wygodnie o oparcie i spojrzał na Andrzeja Delrue.

— Zbity cokolwiek z tropu tą swobodą wielkiego milionera i jego jasnym, badawczym wzrokiem, młody bankier napróżno szukał słowa lub postawy, któraby